

Iwona Banach

Piramida Czasu

S&C

EXLIBRIS

Las gęstniał, a właściwie nie tyle gęstniał, ile kłębił się wokół nich jak gigantyczny wir dzikich roślin, oplatający każdy ruch, każdy gest, z trudem wyrąbany maczetami – byle przed siebie. Byle przed siebie.

Duszący zapach rozkładających się roślin pomieszany ze spływającą z liści wilgotną mgłą wdzierał się w usta i oczy. Było ciemno, ale nie za sprawą zmierzchu, pochłonał ich mrok skłębionych, nad głowami konarów tysiącletnich drzew o wielkich, czarnych liściach.

Szli, krok za krokiem, byle przed siebie, wydzierając dżungli centymetr po centymetrze, tylko po to, aby tuż za nimi zamknęła się jak nietknięta, nie pozwalając zawrócić, wciąż groźna, wciąż mocna, wciąż niedostępna.

Głuche, dobiegające z wysoka głosy ptaków docierały do nich zniekształcone i odległe. Jakby wszechobecna wilgoć starała sieje zagłuszyć.

Gdzieniegdzie, w poszyciu, cichym szelestem dawał o sobie znać przemykający wąż. Ze zwieszających się lian spływały na nich mokre pająki o wielkich kosmatych odnóżach.

Piekło. Tak właśnie wyobrażali je sobie. Piękne, ale dzikie piekło dżungli, które usiłowali pokonać od blisko trzech tygodni, idąc w nieznaną.

Odkąd trzy lata temu Amanda odkryła tajemniczy zapis w języku Nerile o niczym innym nie myśleli, o niczym innym nie marzyli. Dostać się tam i odnaleźć ją.

Nie wiedzieli oczywiście, czy zapis jest precyzyjny ani z którego wieku pochodzi. Stopień skomplikowania nie pozwalał na to, nawet w przybliżeniu.

Nie rozumieli go w całości, bo nikt nie potrafił dokładnie odcyfrować znaków, zawierał jednak coś, o czym od dawna mówiło się w świecie nauki. Na razie były to zaledwie ciche przebąkiwania odważniejszych naukowców, o reputacji nie zawsze najlepszej.

Zresztą język Nerile także budził wiele zastrzeżeń.

Odkryto tylko dwa fragmenty zapisane tym skomplikowanym ciągiem znaków. Dwa, i ani kawałka więcej. Część uczonych twierdziła, że to nawet nie był język. Czym więc mogły być inskrypcje? Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego uznali, że to coś w rodzaju szyfru, przygotowanego w pewnym, konkretnym celu. Ale czyjego szyfru? Stworzonego przez Azteków? Albo przez przedazteckich mieszkańców Ameryki Południowej?

Zgoda, każdy język w zasadzie jest szyfrem, ale to, co zawierały dwa zapisy w umownym języku Nerile, było naprawdę zagadkowe. Dlaczego stworzono skomplikowany szyfr tylko po to, aby zakodować tak niewielki skrawek tekstu? A jeżeli to nie szyfr, tylko jakiś nieznaną język, to dlaczego nie przetrwało więcej zapisów, choćby fragmentarycznych?

Już przy pobieżnym porównaniu obu inskrypcji, zauważono, że zawierały znak odwróconego, podwójnego trójkąta, który mógł oznaczać piramidę, i symbol wiru,

zweźającego się ku środkowi – czyżby oznaczenie czasu?

Szaleńcza myśl, która wówczas pojawiła się w głowie Amandy, nie była w zasadzie aż tak szaleńcza.

Oto piramida czasu, legenda, która od lat burzyła spokój naukowców i badaczy na całym świecie. Nie było człowieka, który nie chciałby jej odnaleźć. Nie było naukowca, który nie miałby własnej teorii na jej temat, bo przecież, jeżeli rzeczywiście istniała, musiała do czegoś służyć. Mieć jakieś przeznaczenie.

Kto ją zbudował? A może stworzył? Tego naprawdę nikt nie umiał wyjaśnić. Nawet najśmielsze teorie nie mogły odpowiedzieć na to pytanie, ale w większości z nich uważano, że miała ona sama w sobie siłę stwórczą, w tym wypadku czas. Stworzyła więc sama siebie? Z czasu? Pomysł oczywiście budził wiele zastrzeżeń i nie wychodził poza skalę domysłów, ale łudził i pociągał.

Wielu naukowców pukało się w głowę z zupełnym niedowierzaniem, twierdząc, że czas nie może być siłą stwórczą, gdyż pojawił się dopiero po samym akcie stworzenia i tylko od niego jest zależny.

Wielu przekonywało, że jest to jeszcze jedna z mnóstwa niepotwierdzonych legend kontynentu, takich samych jak zagadki i niejasności związane z istnieniem azteckich miejsc kultu. W końcu dotąd nie udało się wyjaśnić skąd się wzięło i w jaki sposób zaginęło wiele z południowoamerykańskich cywilizacji, które posiadały przecież wiedzę, o jakiej wówczas nikomu się nie śniło, ot choćby, z dziedziny astronomii czy matematyki.

Skąd posiadały tak wielką wiedzę? To była jeszcze jedna z ogromu niewyjaśnionych zagadek, mącających umysły naukowców, usiłujących udowodnić, iż nie mamy do czynienia z dziełami ludzi, ale cywilizacji, które w jakiś sposób przywędrowały do nas, choćby z kosmosu.

Oczywiście, takie myślenie pozbawione było podstaw naukowych, ale Amanda nie odrzucała tych rozwiązań. Dla niej, odnalezienie legendarnej piramidy czasu, było po prostu obsesją, i to niezupełnie związaną z pociąganiem do wiedzy.

Czas był dla niej – naukowca i kobiety – wyzwaniem. Amanda była piękna, niemniej czas zostawił na jej twarzy delikatną siatkę zmarszczek, prawie niewidocznych, ale jakże strasznych.

Odnalezienie piramidy czasu to być może odnalezienie samego czasu? Jego źródła? A może jego istoty? A odnaleźć, to zrozumieć. Zaś dla Amandy zrozumieć – znaczyło posiąść, a może nawet pokonać.

Tego jednego chciała. Pokonać to co wydawało się niepokonane – czas. Dlatego wraz z Georgem od trzech lat zbierała każdy grosz, najmniejszą informację, choćby wzmiankę na temat domniemanej piramidy czasu.

Nie wiedziała oczywiście, gdzie należy jej szukać, była jednak pewna, że nigdzie indziej, jak w Ameryce Południowej. To było tylko przeczucie, jakaś nieokreślona pewność. George myślał podobnie, ale odszukanie piramidy, o wiele przecież mniejszej niż ta w Gizeh, na obszarze tak ogromnym jak powierzchnia

kontynentu, stanowiło poważny problem.

Nic nie wskazywało, że dwa kawałki tekstu, który o niej wspominał, znaleziono w samej piramidzie. Mogły pochodzić z każdego miejsca na kontynencie, a nawet na świecie. George był jednak zdania, że oba mają to samo źródło, co dawało przynajmniej jakąś wskazówkę, dotyczącą pochodzenia inskrypcji.

Powinno to być miejsce, w którym znaleźć można dalsze wskazówki dotyczące samej piramidy lub miejsca ukrycia innych, nieodnalezionych kawałków układanki.

Już pobieżna analiza chemiczna obu, cudem wypożyczonych, z pozoru zwykłych, glinianych płytek pozwoliła przypuszczać, że powinny pochodzić z tego samego miejsca. Zdziwienie badaczy wywołała obecność jakiegoś rzadkiego pierwiastka, którego nawet Georgeowi nie udało się określić. Nie był w końcu chemikiem ani geologiem.

– To może być wskazówka – powiedział do Amandy zmęczony ślęczeniem nad danymi – ale nie musi – dodał, widząc błysk w oczach koleżanki. Nie chciał jej dawać złudnych nadziei. W końcu nie był pewien, czyjego rozumowanie jest poprawne.

Amanda jednak chwyciła się tego pomysłu jak ostatniej deski ratunku. Mozolnie ślęcząc nad słownikami języka hiszpańskiego, ułożyła staranny list i wysłała go do kilku ministerstw zasobów naturalnych największych państw Ameryki Południowej.

Pozostało tylko czekać, a czekanie nie było ulubionym

zajęciem Amandy, w końcu jednak otrzymała odpowiedź. Pewnego dnia, między odbieranymi i pobieżnie przeglądany listami, zauważyła tę jedną jedyną kopertę. Była niechlujnie zaadresowana, ale Amandzie po prostu zaparło dech w piersiach gdy ją otworzyła.

Szanowna pani, zawiadamiamy, że...

Tu następował krótki opis pierwiastka, rzadkiego i właściwie zupełnie nieprzydatnego, który występował w pewnym ograniczonym obszarze dżungli amazońskiej, i choć nie był to mały teren, znacznie zawęził skalę poszukiwań.

Minęło jeszcze kilka miesięcy, zanim zebrali odpowiednie fundusze i w największej tajemnicy, wynajętym helikopterem, ruszyli w kierunku oznaczonego miejsca.

Tajemnica była według Amandy po prostu nieodzowna.

– Nie chcę dzielić się moim... naszym – dodała pośpiesznie – odkryciem. Nie słyszałeś starego porzekadła, czas to pieniądz? – wyjaśniła cynicznie, tak pewna była swojego zwycięstwa.

George trochę inaczej myślał o ewentualnym odkryciu, bardziej duchowo. Może mógłby zrobić coś dla ludzkości, coś naprawdę dobrego, choćby naprawić świat?

Takie myślenie nie leżało w naturze Amandy, ona chciała wszystkiego dla siebie. Czasu, pieniędzy, może nawet życia wiecznego. I władzy. Taka myśl od razu powstała jej w głowie, życie wieczne! Nieśmiertelność!

To było coś, za co oddałyby duszę diabłu, gdyby wierzyła w jego istnienie.

Wyruszyli oboje, obciążeni plecakami pełnymi zapasów, uzbrojeni w maczety. Amanda i George, nikt więcej.

– Nie obawiasz się, że nie damy sobie rady? – George chętnie zabrałby na wyprawę jeszcze choć jednego, dwóch tragarzy, ale Amanda była nieugięta.

– Albo damy, albo nam dadzą – odparła – zaraz wszyscy rzucą się na nasze odkrycie i nic już dla nas nie zostanie – nic! Rozumiesz? Myślisz, że, takie odkrycie nie zainteresuje wojska? Wywiadu? Nikt nic nie może wiedzieć, nikt niczego nie może się domyślić – zdecydowała ostro i nie ociągając się poszła pierwsza w gęstwinę, jakby obawiając się, że to nie ona, a George, odnajdzie piramidę pierwszy.

Trzy tygodnie męczącego marszu wyczerpały ich prawie zupełnie. Zapasy wody, odnawiane co jakiś czas w odnajdowanych cudem źródełkach, wystarczały zaledwie na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Nie myli się, prawie w ogóle nie spali. Pokąsani dotkliwie przez owady, poranieni liśćmi, wyczerpani, mozolnie szli dalej, ku centrum, ku miejscu, gdzie, jak sądziła Amanda, musiała znajdować się piramida.

– Wolałbym nie pchać się w sam środek tego bagna – marudził coraz częściej George. – Ona może być wszędzie, w każdym zakamarku. Mogliśmy już ją minąć albo właśnie ją mijamy, nie wierzysz?

– Nie! – odpowiadała wówczas twardo. – Ten obszar to doskonały, powiedzmy, prawie doskonały okrąg.

Ona musi być w samym centrum. Musi!

Ostro podkreślała, to swoje „musi” jakby nic i nikt nie mógł jej przekonać, że przecież może nie mieć racji.

Noc kładła się na nich odgłosami dzikich zwierząt i ptactwa, przesączonymi przez konary srebrnymi promieniami księżyca, zbyt słabego, by pokonać ciemność nocy, zbyt delikatnego, by przedrzeć się przez skłębioną roślinność.

Owinięci w zupełnie mokre śpiwory leżeli obok siebie, nie mając już prawie nic do powiedzenia, nękani coraz większą słabością i niepewnością.

Właśnie jednej z takich nocy, George poczuł to coś.

Poczuł, a może usłyszał? Wiedziony jednym z tych prawie niewidocznych promieni, przedarł się cicho, aby nie obudzić Amandy, ku niewielkiej, niemal niewidocznej polance, otoczonej kolczastymi krzewami.

Polanka była pusta. Tak przynajmniej sądził, ale kiedy jego wzrok się przyzwyczaił do mroku, rozświetlonego jedynie lekką poświatą, zobaczył ją. A właściwie jej brak. Brak piramidy. Nie było jej. Na porośniętym kępami dzikiej trawy podłożu, było tylko to, co z niej zostało. Niewielki kwadrat z kamieni, ułożonych starannie jeden obok drugiego. I tylko tyle.

Tak, jakby ktoś po prostu ją rozebrał.

Wrócił zrezygnowany po Amandę.

– Nie ma jej – powiedział, tak jakby to miało wszystko

wyjaśnić. – Nie ma jej! Rozumiesz! – krzyknął, z gardłem ściśniętym od nagłego przyływu rozpaczy.

Amanda uderzyła go z całej siły w twarz otwartą dłonią. To było jak nagły podmuch zimnej nienawiści, jak powiew zgrozy.

– Na pewno tam jest – powiedziała patrząc na niego nienawistnie.

Już wcześniej czuł, że powinien coś zrobić, że powinien to zrobić. Nagle jej determinacja sprawiła, że uwierzył. Nie, nie uwierzył, zrozumiał, że ona tam jest, jego piramida czasu, znalezisko, którego nikomu nie odda, którym z nikim się nie podzieli, nawet z Amandą.

Wiedział, że może zrobić tylko jedno, ale nie czuł skrępowań, on po prostu musiał to zrobić. Nie miał innego wyjścia.

Wyciągnął ręce tuż przed siebie i zacisnął je na delikatnej szyi Amandy. Była miękka i ciepła, tak bardzo ciepła i kusząca, a on cisnął, dławił i dusił, napawając się swoją siłą. Jego palce zaciskały się z coraz większą zaciętością, determinacją.

Nie krzyczała, a może on po prostu nie słyszał jej krzyku, nie wyrywała się, jakby wiedziała, że nic nie może już zrobić. Poddała się jego sile z łagodnością straceńca. Kiedy fala nienawiści opadła jak mgła, w której się dusił, było już po wszystkim.

Amanda leżała martwa, a on, o zgrozo, nie czuł nic.

Nic, poza przeświadczeniem, że zrobił to, co do niego należało. Musiał ją zabić, to po prostu było konieczne.

Wrócił znów na polankę, poszukując swojej piramidy. Wiedział już, że ona tam jest. Był pewien.

Miał jednak przeczucie, że o czymś zapomniał. Że przeoczył coś niesłychanie ważnego, coś co powinien był przewidzieć. Gorączkowo szukał w głowie jakichś wskazówek, obrazów.

Właśnie obrazów...

Tak, piramida została zaznaczona podwójnym, ale odwróconym trójkątem. Tak! Właśnie, odwróconym.

Zatem mogła być odwrócona. Tym trudniejsza do odkrycia, tym bardziej tajemnicza, tym bardziej prawdziwa.

Zdecydowanie stanął na kamieniach, pewien, że właśnie to powinien uczynić. Bez zdziwienia stwierdził, że powoli zapada się w głąb konstrukcji, jakby coś wciągało go do środka, coś lub ktoś, ale nie było to nieprzyjemne, wręcz odwrotnie, czuł euforię zdobywcy, podniecenie odkrywcy i radość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał.

Nie myślał o tym, jak wróci do domu ani co zrobił Amandzie. Był tu i teraz. I to mu wystarczyło.

Wnętrze, w którym znalazł się po chwili, wypełnione było poświatą. Idealne, niewypowiedziane, niezniszczalne, po prostu – piękne.

– Piramida czasu – powiedział sam do siebie trochę nieswoim głosem – czas w czystej postaci... Czas, który jest, był i będzie...

Zaszumiało. W głowie, ale zarazem jakby gdzieś nad

nim, albo obok usłyszał coś, co brzmiało jak słowa.

– *Mylisz się. Czas nie istnieje!* – powiedziała piramida językiem, który zrozumiał. Ale to, co mówiła było niemożliwe. Co jak co, ale czas musiał istnieć. Był o tym przekonany.

– Czas nie istnieje? To niemożliwe – odparł zdziwiony.

– Musi istnieć, inaczej nic by nie istniało, albo wszystko by istniało...

– *Niestety, nie masz racji, czas nie istnieje. Nigdy nie istniał...* – usłyszał szept.

– Więc to, co jest czasem... – w głowie zaświtała mu nagle myśl, że śni, że wcale nie ma go tu, w tym dziwnym miejscu.

– *Czas nie istnieje* – powiedziało coś w jego głowie – *istnieje tylko przemijanie.*

– Przecież to, to samo, czas mija więc wszystko mija...

– odparł zdziwiony, nie mogąc pojąć tego co usłyszał.

– *Nie. To nie to samo. Przemijanie, to przemijanie. A czasu po prostu nie ma. Nie rozumiesz? To co nazywasz czasem tworzysz sam.*

– Ja nie... – bardzo chciał zrozumieć, ale nie był w stanie.

– *To, co nazywasz czasem, to twoja niedoskonałość.*

Twoje serce, które się zatrzyma. Twoje oczy, które stracą blask... Twoje przemijanie. Sam nim jesteś i zależy tylko od ciebie, a nie od tego, co nazywasz czasem.

– Ale przecież wszystko przemija. Nie tylko ja – odparł, chcąc bronić tego, w co wierzył tak głęboko –

nawet kamień.

– *Bo jest tak samo jak ty niedoskonały, trwalszy i mniej przemijalny, ale także niedoskonały. Rozejrzyj się. Czy widzisz tu ten twój czas?*

George przyjrzał się nieskazitelnemu miejscu, w którym był. Zdawało się, że czas nie ma tu dostępu.

Głos ciągnął dalej.

– *Wszedłeś tu i przyniosłeś ze sobą to, co zwiesz czasem. Ja nazywam to przemijaniem. Jesteś niedoskonały, a więc przemijalny. Jest tylko jedna jedyna rzecz, która jest nieprzemijalna.*

– Czas? – zapytał, nie bardzo chcąc się pogodzić z tym, co słyszał – Tylko czas jest, był i będzie.

– *Mylisz się. Czas nie istnieje. No, może w tobie, dla ciebie, dzięki tobie, dzięki twoim ruchom, gestom, oddechom, ale on jest też przemijalny, przemienie wraz z tobą. Jedyną rzeczą nieprzemijalną jest wieczność.*

George popatrzył na swoje ręce. Nagle zdał sobie do głębi sprawę ze swojej niedoskonałości, z tego, jak bardzo boi się przemijania, czasu, jak bardzo nie chce starości, zmarszczek, jak przeraża go moment, kiedy jego niedoskonałe serce zatrzyma się i sprawi, że on, George, przemienie raz na zawsze.

– Nie chcę przemijać! – krzyknął w odruchu rozpacz.

– Nie chcę przeminać! Chcę istnieć... Istnieć zawsze.

Czy jest czas, czy też go nie ma...

Zaszumiało wokół i George rozejrzył się przestraszony, a głos mówił dalej.

– *Tylko wieczność jest, była i będzie. Nigdy się nie zaczęła i nigdy się nie skończy, nie należy do nikogo...*

No, może do mnie, ale wieczność nie przemija.

– Zatem to jest piramida wieczności? – zapytał trochę bardziej zadowolony, bo w końcu czas, to przecież prawie to samo co wieczność, tylko odrobinę mniej.

– *Tak. To jest piramida wieczności* – zaszumiało lekko nad nim i w nim samym.

– Więc będąc tutaj, stałem się wieczny. – George nie wierzył własnym uszom, to było to czego nagle tak bardzo zapragnął.

– *Nie. Dopiero możesz stać się wieczny. Możesz, jeżeli tego będziesz chciał* – odparł głos. – *W tej chwili należysz do swojego czasu, który cię otacza, odmierza twój oddech, gest, ruch. Wieczność, to coś więcej. To niezmiennie trwanie. Ciągłe, bezczasowe trwanie tu i teraz, zawsze i wszędzie, kiedyś i dziś. Trwanie, które nie ma końca i nie ma początku. Czy chcesz tak trwać?*

– Oczywiście! – krzyknął. – Oczywiście. Zawsze i wszędzie. Tylko o tym marzę, tylko tego chcę...

Będzie wieczny. Potężny, jedyny na świecie, równy bogom, lub Bogu? A może będzie Bogiem? Nad tym się nigdy nie zastanawiał, ale wiedział, że to właśnie ta chwila. Jego chwila.

– Uczyń mnie wiecznym! – krzyknął z całych sił, jakby chciał to obwieścić całemu światu. – Zrób to!

– *Czy niczego więcej nie chcesz się dowiedzieć? O nic nie chcesz zapytać?* – zaszumiało nad jego rozpaloną

głową, ale on niczego już nie chciał wiedzieć, o nic już nie chciał pytać.

– *Dobrze. Dotknij kamienia, który masz przed sobą* – powiedziała piramida, a właściwie nawet nie wiedział, czy była to piramida, czy tylko jakiś wewnętrzny lub zewnętrzny głos.

Dopiero teraz spostrzegł przed sobą idealnie owalny, doskonale opalizujący, delikatny kamień. Szybko chwycił go swoją ręką. Piramida westchnęła i dał się słyszeć cichy, jakby odrobinę szyderczy, śmiech.

Nagle wszystko zgasło. Nie słyszał już nic, nie widział już nic, nie czuł już nic. Wiedział tylko, że istnieje. Tu i teraz. Przeważenie, jako ostatnie uczucie, dopadło właśnie tej myśli. To nie miało być tak. Nie tak miał istnieć! Nie tak! Ale dopiero teraz zrozumiał, że właśnie w ten, i tylko ten, sposób będzie istniał. Każda forma istnienia: ruch, oddech czy nawet gest wymaga tego, co nazywał czasem, a więc przemijania. Niczego już nie zobaczy, nie poczuje, nie dotknie... Będzie tylko istniał. Istniał i nic więcej. Od teraz będzie świadom jedynie tego, że istnieje. Niczego więcej, bo wszystko inne jest przemijalne, tylko nie on. Już nie.

Tymczasem mała postać oderwała się od kolumny, na której leżał owalny kamień.

– Nie chciałeś wiedzieć, więc ci nie powiedziałem.

Przemijanie to życie. Wieczność to śmierć, bo tak naprawdę tylko śmierć jest wieczna... Zatemkniesz jeszcze za swoim przemijaniem... Może kiedyś, ktoś znajdzie

twoją piramidę, ale zanim to nastąpi – roześmiał się złośliwie – minie cała wieczność! Tylko, że jak sam już wiesz, wieczność jest nieprzemijalna.